

MARK RASHID



KONIE NIGDY
NIE KŁAMIAĆ

ISTOTA PASYWNEGO PRZYWÓDZTWA

GALAKTYKA

MARK RASHID

KONIE NIGDY
NIE KŁAMIAĆ

ISTOTA PASYWNEGO PRZYWÓDZTWA



Przedmowa: RICK LAMB

Przekład: BLANKA PROŚNIEWSKA-PIRO

G A L A K T Y K A

Informacje zawarte w niniejszej publikacji nie mogą być traktowane jako profesjonalna porada. Nie zastępują więc odpowiedniego treningu pod okiem specjalisty, a jedynie go uzupełniają. Każdy rodzaj ćwiczeń wiąże się z ryzykiem. Wydawca stanowczo doradza czytelnikowi wzięcie pełnej odpowiedzialności za swoje bezpieczeństwo i przystąpienie do wykonywania ćwiczeń wyłącznie ze świadomością własnych ograniczeń. Nie podejmuj ryzyka przekraczającego twoje doświadczenie, umiejętności, wytrenowanie oraz sprawność fizyczną.

Autor i wydawca nie ponoszą odpowiedzialności za szkody i straty powstałe w wyniku stosowania instrukcji oraz sugestii zawartych w niniejszej publikacji. Choć autorzy i wydawca dołożyli wszelkich starań, aby zawarte w tej książce informacje były rzetelne i kompletne, nie ponoszą oni żadnej odpowiedzialności za mogące pojawić się błędy, nieścisłości, przeoczenia lub niezgodności.

Tytuł wydania oryginalnego:
Horses Never Lie. The Heart of Passive Leadership.
2nd Edition

Copyright © 1993, 2011 by Mark Rashid
Illustrations copyright © 1993 by Ron Ball
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie polskie © 2023 by Galaktyka sp. z o.o.
90-644 Łódź, Żeligowskiego 35/36
tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17
e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl
www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-874-6

Konsultacja: Wojciech Mickunas
Redakcja: Elżbieta Derelkowska
Korekta: Monika Ulatowska
Redakcja techniczna: Renata Kozłowska
Redaktor prowadzący: Marek Janiak

Oryginalny projekt okładki: Liz Driesbach
Adaptacja projektu okładki: Master
Skład: Garamond

Druk i oprawa: Drukarnia im. A. Półtawskiego

Pełna informacja o ofercie i planach wydawniczych:
www.galaktyka.com.pl
info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl
Zapraszamy!

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana ani w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.



SPIS TREŚCI

Przedmowa	9
Wstęp:	
Kim jest pasywny przywódca?	11
PYTANIE	15
NATURA STADA	37
OTIS I BUCK	57
PERSPEKTYWY I POSTRZEGANIE	81
JAK DOSTRZEC STARANIA	101
CIEŃ SZANSY	123
CZY TO SIĘ UDA?	147
WIĘŻ	167

Na rozprężalni trener miał problem z uzyskaniem od swojego konia sliding stopów, a jego przejścia też nie były o wiele lepsze. Wałach nie chciał wykonywać lotnych zmian nogi w galopie, a jego spiny były wolne i pozbawione energii. Trener zdenerwowany anemicznym zachowaniem konia mocno go zmęczył na rozprężalni i wreszcie osiągnął zadowalające go zachowanie zwierzęcia.

Jednak to jego wierzchowiec miał tego dnia ostatnie słowo. Kiedy nadeszła jego pora, wszedł spokojnie na ujeżdżalnię, ale potem dał największy pokaz nieposłuszeństwa, jaki widziano w owych stronach. Opuścił głowę i zaczął wierzgać jak na finałach rodeo w Las Vegas.

Trener utrzymał się co prawda w siodle przez kilka pierwszych baranich skoków, ale potem chyba tego pożałował. To były jedne z najwyższych wyskoków, jakie ktokolwiek z obecnych widział (szczególnie na zawodach reiningowych), a większość nie potrafiła stwierdzić, kto bardziej kwiczał – koń, który wydawał dzikie dźwięki przy każdym skoku, czy trener, który najpierw opadł na tylny łęk siodła, potem na jego róg, by w końcu wylądować na szyi wierzchowca.

W każdym razie trener skończył na ziemi z połamanym kapeluszem i podartymi dżinsami, a koń wykonał jeszcze trzy ekspresyjne rundy wokół ujeżdżalni, pędząc, wierzgając i puszczając gazy przez całą drogę. Para po cichutku opuściła arenę, a potencjalni kupcy stracili zainteresowanie zarówno koniem, jak i trenerem.

Tak więc przynajmniej w tej konkretnej sytuacji stanie się „dominującym przywódcą stada” dla konia nie skończyło się dobrze i nie przyniosło spodziewanych efektów dla trenera. Koń, być może, był innego zdania. Podejrzewam, że uznał, że skończyło się to dokładnie tak, jak powinno.

Jest jeszcze jeden sposób, w jaki ludzie stają się przywódcami czy też osobnikami alfa w „stadzie” swojego konia. To dużo powszechniejsza metoda uczona na dużą skalę przez wielu trenerów. Jej podstawowe założenie wciąż polega na tym, żeby koń postrzegał cię jako dominują-

cego przywódcę, ale masz też postarać się spoglądać na każdą sytuację z perspektywy konia. A przynajmniej tak jest w teorii. Z moich obserwacji praktycznego wykorzystywania tej metody wynika, że wygląda ona bardzo podobnie do tej używanej przez owego trenera konia reiningowego. Efekty jej stosowania u konia (choć większość z nich nie zrzuca swoich jeźdźców podczas ważnych zawodów) są pod wieloma względami podobne. Szkolony w ten sposób koń pracuje bez „uczucia” i przypomina bardziej maszynę niż chętnego do współpracy partnera.

Widziałem konie szkolone przez właścicieli zachowujących się jak osobniki alfa: one po prostu wyłączają się mentalnie. Nie twierdzę, że nie stosują się do poleceń człowieka, bo to robią – z pozoru nawet bez zarzutu. Jednakże ich występy nie utrzymują stałego poziomu, a same zwierzęta nie wyglądają na szczęśliwe, wykonując swoją pracę. Jednego razu mogą wykonywać dane zadanie bez wahania, a następnego nawet nie próbować do niego podejść. Takie konie często usiłują powiedzieć swojemu jeźdźcowi, że nie są zadowolone z ich wzajemnych stosunków. Koń komunikuje to na różne sposoby: poprzez nieobecny wzrok, położone po sobie uszy, nerwowo ruszający się ogon i odmowę wykonania zadania. W niektórych przypadkach nie daje się złapać, nawet jeśli właściciel poświęcił dużo czasu na naukę posłuszeństwa w tej kwestii.

Zanim przejdę dalej, chciałbym stwierdzić, że sama idea takiego stylu szkolenia nie jest zła. Nie ma w niej absolutnie nic złego. Nie wszystkie konie szkolone w ten sposób nabawiają się problemów behawioralnych i zachowują się tak, jak opisałem powyżej. Uważam, że to kwestia osobistego wyboru – to metoda, która u jednych ludzi i ich koni się sprawdza, a u innych nie. Wierzę, że wszystko sprawdza się do tego, jakie chcesz mieć relacje ze swoim zwierzęciem. Jeśli chcesz, by postrzegało cię jak alfę czy też dominującego przywódcę stada, powinieneś postępować w ten sposób. Bardzo wielu trenerów i właścicieli koni osiąga olbrzymie sukcesy, pracując z końmi tą metodą. Niektóre wierzchowce wręcz preferują takie traktowanie.

Uważam jednak – na podstawie obserwacji wielu koni, których jeźdźcy stosują tę metodę – że stosunki między nimi nie są partner-

skie, przypominają bardziej dyktaturę. Coś w stylu: „Ja mówię, a ty robisz”.

Osobiście wolałbym, żeby mój koń widział we mnie partnera, a nie dyktatora. Bardziej: „Zróbmy to razem”. Takie podejście panowało w niewielkiej stajni mojego znajomego staruszka. Kiedy ktoś musi przyjąć funkcję przywódcy, mogą to być ja. Ale zrobię to w taki sposób, żeby koń nie czuł się zdominowany ani też nie czuł, że go nie szanuję.

Kiedy wspominam sposób, w jaki starszy człowiek pracował ze swoimi końmi, pamiętam, że zawsze miał bardzo swobodną postawę. Nie chcę przez to powiedzieć, że pozwalał koniom na wszystko, czy też nie oczekiwał od nich, żeby grzecznie się zachowywały i miały przyzwoite maniery. Starał się jednak także zawsze pozwalać im mieć swoje zdanie na temat tego, o co je prosił. Słuchał ich, brał pod uwagę ich punkt widzenia i dopiero działał. Dzięki temu jego konie były bardzo godne zaufania, chętne do współpracy, spokojne i żywo reagujące.

Tak było ze starym Saltym. Wałach postanowił, że nie da się złapać. Staruszek stwierdził, że nic mu do tego. Jednakże Salty musiał żyć z konsekwencjami swojej decyzji, które, jak wkrótce się przekonał, były bardzo niepożądane. Kiedy spróbował znaleźć wyjście z sytuacji, staruszek był gotowy mu pomóc – jednak sama decyzja należała do konia. Dostawszy okazję, sam wybrał, co jest dla niego właściwe w dłuższej perspektywie. Nie musiał w tym celu przechodzić żadnego specjalnego szkolenia. Staruszek znalazł sposób, żeby Salty zachował godność, osiągając przy tym cel.

Być może na tym polegał sekret staruszka podczas pracy z końmi. Ten drobiazg był chyba jej najważniejszą cechą – osiągał cel bez poniżania konia czy też zmuszania go do przyjęcia własnych pomysłów, dzięki czemu wierzchowiec chciał robić dla niego pewne rzeczy. Pozwalał, by właściwa decyzja była podejmowana samodzielnie przez konia, i nie przejmował się zbytnio, gdy ten dokonywał złego wyboru. Właściwie może nie powinno to stanowić zbytniej różnicy dla nikogo z nas.

Jedna myśl nie daje mi spokoju. Jeśli konie mają reagować pozytywnie na szkolenie polegające na tym, że człowiek staje się alfą w stadzie, to dlaczego tak wiele z nich ma problem z tym podejściem? Czy coś przeoczyliśmy? Może robimy coś niewłaściwie w trakcie szkolenia?

Odpowiedzi na te pytania bardzo długo mi umykały, ale koncepcja stania się przywódcą stada wciąż mi doskwierała. W końcu olśniło mnie, że być może zadaję złe pytania. Może powinienem zapytać o coś, co zupełnie przeoczyłem. Widziałem tę całą sytuację z mojej perspektywy – osoby patrzącej na konia. Aby spojrzeć na nią z punktu widzenia zwierzęcia, musiałem zrozumieć, jak koń postrzega jego stosunki z alfą w stadzie. Czy jest z nich zadowolony, lubi je? Czy to jego szanuje i chętnie naśladuje? A może wolałby być jak najdalej od niego?

Przez kilka następnych lat, dzięki pomocy i cierpliwości licznych koni i osób, odpowiedzi na te pytania zaczęły się wreszcie pojawiać.

Wkrótce przekonałem się, że dla koni były one od dawna jasne.

UWAGI DO ROZDZIAŁU „PYTANIE”

Zawsze twierdziłem, że praca z koniem opiera się – a przynajmniej powinna się opierać – na próbach odkrycia, jak dużo czy też jak mało wskazówek potrzeba, żeby koń, z którym pracujemy, zrozumiał, czego próbujemy go nauczyć. Za mało wskazówek, a nie będziemy skuteczni. Kiedy użyjemy ich za dużo, możemy wywołać u konia opór i niechęć wobec nas.

W czasie, gdy pisałem tę książkę, w kręgach koniarzy istniała silna tendencja, żeby osoba pracująca z koniem stała się w jego oczach „alfą” – koniem, szefem. Trend ten przybierał na sile, przez co widywałem sporo rozgoryczonych koni i sfrustrowanych właścicieli. Myślę, że działo się tak dlatego, że dla wielu ludzi zostanie alfa oznaczało danie upustu emocjom takim jak gniew, gdy próbo-

wali skłonić swojego konia do zrobienia czegoś, co często przekładało się na arbitralne użycie siły. W wielu przypadkach ani koń, ani jeździec nie rozumieli za bardzo owego stosowania siły, przez co po treningu jeźdźcy mieli z końmi jeszcze większy problem niż ten, z którym zaczęli.

Delikatna równowaga i subtelne niuanse, które mogą być istotą postępowania z końmi, zatracaly się w biciu i wywoływaniu presji, czego uczono jako sposobu, by człowiek stał się alfą. Pisząc ten rozdział, chciałem trochę spowolnić mój tok rozumowania, żeby ludzie, którzy postępują (lub sądzą, że postępują) zgodnie z filozofią konia alfa, mogli porównać to, co słyszą lub być może robią, z nieco inną drogą... drogą, na której stosunki z koniem mogą być odrobinę bardziej zrównoważone, zarówno pod względem tego, jak postępujemy z koniem, jak i tego, w jaki sposób on reaguje.



JAK DOSTRZEC STARANIA

– A niech cię – wymamrotałem. – O co ci u diabła chodzi?

Minęło już czterdzieści pięć minut, odkąd wsiadłem na konia, a sprawy nie układały się dobrze. Dosiadałem młodej klaczy o imieniu Lacey. Pracowaliśmy spokojnie w lonżowniku, kiedy wpadłem na pomysł, żeby nauczyć ją cofania. Najpierw poprosiłem ją o zatrzymanie ze stępa, co od razu uczyniła. Następnie zrobiłem to, co każdy, kiedy chce, żeby koń zaczął cofać – pociągnąłem za wodze. Z początku użyłem – jak sądziłem – lekkiego nacisku, ale klacz się nie cofnęła. Pociągnąłem mocniej. Wciąż nic.

Minęło kilka minut, a ja zwiększałem nacisk do momentu, gdy już nie tylko ciągnąłem obydwoma dłońmi, ale nawet odchylałem się do tyłu, żeby mieć większą dźwignię. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że działałem na wędzidło z siłą mojego ciężaru – całych trzydziestu dwóch kilogramów, a ona ciągnęła w drugą stronę.

Trwało to jakiś czas, zanim zacząłem się męczyć, a ręce rozboleły mnie od ciągnięcia. W końcu musiałem się poddać. Owinąłem wodze wokół rogu siodła i spojrzałem na ich ślady odcisnięte na moich dłoniach.

– A niech to – powiedziałem, rozmasowując ręce. – Ale masz twarde pysk...

– Jak ci idzie? – usłyszałem nagle z tyłu głos staruszka.

Zaskoczony, szybko przerwałem pocieranie dłoni, wziąłem w nie wodze i skręciłem klacz w jego stronę.

– Dobrze – wypaliłem. – Idzie mi dobrze.

– Jak ona się sprawuje?

– Zero problemów – powiedziałem, zmuszając się do uśmiechu i głaszcząc klacz po szyi.

– Rozumiem. – Pokiwał głową. – Nad czym pracujesz?

– Nad czym? – Nieświadomie zacząłem pocierać o siebie dłonie, żeby pozbyć się z nich uczucia pieczenia. – Och, my tylko... Pomyślałem, że spróbuję sprawić, żeby...

– Stała w miejscu?

– Słucham?

– Stała w miejscu – powiedział, opierając stopę o dolną żerdź. – Zauważyłem, że od dłuższego czasu nie ruszacie się z miejsca. Pracujesz nad tym, by się nie ruszała?

– No, chyba. Coś w tym stylu.

Staruszek pokiwał wolno głową i nad czymś się zamyślił. Przeciągnął dłonią po brodzie i w końcu oparł obydwa łokcie o górną żerdź lonżownika.

– Chyba już to umie – powiedział, kiwając wolno głową.

– Co?

– Stać nieruchomo. – Wskazał nonszalancko na klacz. – Wydaje mi się, że całkiem nieźle stoi.

– A tak – zgodziłem się z miną znawcy. – Robi to już całkiem dobrze.

– To pewnie powinieneś pomyśleć o tym, żeby popracować nad czymś innym – powiedział. – Skoro już tak dobrze stoi w miejscu.

– Tak. – Skinąłem głową. – Chyba popracuję nad przejściami.

– Pewnie mógłbyś. – Znów pogładził się po brodzie. – Ale jeszcze lepiej byłoby, gdybyś popracował nad nauczeniem jej cofania.

– Cofania?

– Tak – potwierdził. – Upewnijmy się, że umie cofać, zanim popracujemy nad przejściami.

– No nie wiem. – Skuliłem się na samą myśl o tym. – Nie jestem pewien, czy to koń do cofania.

– Czyżby? – Lekki uśmiech przemknął przez jego spaloną słońcem twarz. – Chyba musimy spróbować, żeby się o tym przekonać.

– Właściwie to już próbowałem, ale jej się to chyba nie podobało.

– Rozumiem. – Znowu kiwnął głową. – Ale może i tak spróbuj.

– Jasne – zgodziłem się z nutką sarkazmu w głosie. – Ale ona chyba tego nie lubi.

To powiedziawszy, ostatni raz potarłem o siebie dłonie, wziąłem w nie wodze i zacząłem powoli wywierać nacisk na wędzidło. Czułem, jak Lacey się ze mną mociuje, wysuwając pysk w przód. Utrzymałem ten sam nacisk jeszcze kilka sekund, zanim zacząłem odczuwać znowu zmęczenie w dłoniach. Puściłem wodze i spojrzałem na staruszka.

– Widzi pan – powiedziałem. – Ona chyba tego nie lubi.

Mężczyzna pokiwał wolno głową i przeszedł na przeciwną stronę lonżownika. Otworzył bramkę, wszedł do środka i cicho zamknął ją za sobą. Zbliżył się do nas, pogłaskał Lacey po szyi i poprosił, żebym spróbował ponownie. Zgodziłem się, choć dałem mu wyraźnie do zrozumienia, że nie podchodzę do tego zbyt entuzjastycznie.

Znowu napiąłem wodze i wywarłem nacisk na wędzidło, a Lacey znów odpowiedziała, wysuwając głowę w przód.

– No dobrze – stwierdził staruszek. – Chyba wiem, w czym tkwi problem.

Świetnie. Wreszcie dostrzegł to, co cały czas usiłowałem mu powiedzieć. Ten uparty koń nie chciał cofać. Wreszcie. Szczerze mówiąc, byłem trochę zaskoczony, że zajęło mu to tyle czasu. Zwykle nie był taki ociężały umysłowo.

– Mogę ja spróbować? – zapytał.

– Jasne – odparłem zaskoczony. – Proszę bardzo.

Wpuściłem wodze z rąk i już miałem zsiadać, kiedy mnie powstrzymał. Odchyliłem się do tyłu i oparłem dłonie na biodrach, kiedy on stanął obok Lacey i delikatnie wziął w ręce wodze. Zaczął powoli je skracać, ale nagle przestał i oddał jej je trochę. Odczekał parę sekund, po czym znowu zaczął skracać wodze. I znów nagle przestał, i oddał

klaczy wodze. Zrobił tak jeszcze trzy razy. Za czwartym nagle poczułem, jak Lacey przenosi ciężar ciała na zad. Staruszek puścił wodze, po czym jeszcze raz je zebrał, a klacz delikatnie cofnęła nos i spokojnie zaczęła cofać. Jeden, drugi, trzeci krok – miękko jeden za drugim.

Staruszek poluzował wodze, a Lacey przestała cofać. Puścił je całkowicie i wolno pogłaskał klacz po szyi. Odczekał kilka minut, zanim znów zebrał wodze i wywarł niewielki nacisk na wędzidło. Klacz zawahała się kilka sekund i kiedy już zaczynałem sądzić, że kilka pierwszych kroków cofania było tylko szczęśliwym trafem, znów ruszyła do tyłu. Tym razem jej kroki były nieco szybsze i jeszcze bardziej miękkie.

Po tym, jak cofnęła się o jakieś dwa, trzy metry, staruszek puścił wodze i pogłaskał Lacey po szyi.

– Chyba jednak nie przeszkadza jej cofanie – powiedział. – Popracuj z nią jeszcze trochę. Tylko nie ciągnij tak mocno i pamiętaj, że nie cofasz jej od wędzidła. Ono jest tylko wskazówką. – To powiedziawszy, obrócił się i wyszedł z lonżownika, zostawiając mnie samego, żebym mógł przemyśleć to, co się wydarzyło.

Obserwowałem, jak znika za rogiem stajni, a w uszach wciąż brzmiały mi jego słowa. Co miał na myśli, mówiąc, że mam jej nie cofać od wędzidła? To nie miało sensu. Oczywiście, że cofałem ją od wędzidła. Po to właśnie ono było. Prawda?

Zrobiłem jeszcze kilka okrążeń wokół lonżownika na klaczy, ale nie prosiłem jej więcej o cofanie. Zdanie staruszka nie dawało mi spokoju. Nie wiedziałem, o co mu chodziło. To mnie sparaliżowało. Nie chciałem nawet spróbować.

Po skończonej jeździe wypuściłem Lacey na pastwisko, poszedłem do stajni i zacząłem przybijać deski w stanowisku tuż obok siodlarni. Od kilku dni zajmowałem się wymianianiem spróchniałych desek i miałem nadzieję skończyć tamtego dnia, o ile staruszek nie znajdzie mi jakiegoś innego zajęcia w międzyczasie.

Wbiłem może ze dwa gwoździe, kiedy mężczyzna stanął w przejściu. Przez kilka sekund nic nie mówił, jakby oceniał moją pracę, a potem sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Wbiłem jeszcze jeden czy dwa gwoździe, zanim olśniło mnie, że może nie stoi tam po to, żeby

podziwiać moje umiejętności ciesielskie. Miałem wrażenie, że czekał, aż zadam mu pytanie, które nie dawało mi spokoju: o nieużywanie wędzidla do cofnięcia Lacey.

– Jak ci idzie? – zapytał, zapaliwszy papierosa.

– Dobrze – stwierdziłem, wbijając ostatni gwoźdź.

Spojrzałem na niego, odkładając młotek i sięgając po następną deskę, ale nic nie powiedziałem. Męczyłem się z ułożeniem deski. Oczywiście, dopiero wtedy zauważyłem, że nie mam pod ręką młotka i gwoździ. Gdybym puścił deskę, żeby po nie sięgnąć, na pewno by spadła. Musiałem więc ją odłożyć.

Nie chcąc wyjść przed staruszką na kompletnego idiotę, który zapomniał narzędzi, przyjrzałem się dokładnie desce, jakbym chciał się upewnić, że idealnie pasuje w wybrane przeze mnie miejsce. Odczekawszy dość czasu, żeby wyglądało na to, że jestem zadowolony z dopasowania deski (która została wcześniej przycięta, żeby była odpowiednia do tego miejsca), zdjąłem ją i odłożyłem na ziemię. Udając, że cały czas miałem taki plan, poszedłem po młotek i garść gwoździ. Włożyłem je między zęby, jak prawdziwy cieśla, i zatknąłem sobie młotek za pasek. Następnie umieściłem deskę na ścianie i zacząłem ją przybijać.

Staruszek nie ruszył się miejsca. Po prostu stał tam, jakby obserwowanie wbijania gwoździ było najważniejszym, co miał do zrobienia tego dnia. Po krótkim czasie skończyłem przybijać deskę. Było już jasne, że mężczyzna nigdzie się nie wybiera, póki nie zadam mu dręczącego mnie pytania.

– Lacey bardzo dobrze dziś pracowała – wspomniałem, oceniając moje wysiłki.

– Tak to wyglądało – odparł, wypuszczając z ust kłąb dymu. – Jak cofała po tym, jak wyszedłem?

– Właściwie – zacząłem – to nie miałem już więcej okazji na niej cofać.

– Nie?

– Nie – powiedziałem lekko zawstydzony. – Nie wiedziałem, o co panu chodziło, kiedy mówił pan, że mam jej nie cofać od wędzidla.

W końcu spojrzałem na staruszkę. Miał lekki uśmiech na twarzy. Zaciągnął się dymem, pokiwał wolno głową i gestem wskazał, żebym poszedł za nim do siodlarni.

Odłożyłem młotek na stertę drewna i podążyłem za nim. Wpatrywał się w ogłowie wiszące na ścianie. Zdjął stare ogłowie ze zwykłym, łamanym wędzidłem. Rozplątał poskręcane skórzane wodze i podał mi ogłowie z wędzidłem, a sam zostawił sobie wodze.

– Weź wędzidło w rękę – powiedział, wypuszczając kłęby dymu kącikami ust, przez co lekko zmrużył oczy – i przełoż sobie ogłowie przez ramię.

Położyłem ogłowie na całej ręce, zakładając nagłówek na bark i wziąłem wędzidło w dłoń, zaciskając ją w pięść.

– A teraz zamknij oczy i powiedz mi, kiedy poczujesz, że pociągam za wodze.

Zamknąłem oczy i czekałem. Po kilku sekundach poczułem, że wędzidło się rusza, ale nic nie powiedziałem, bo nie czułem, by za nie ciągnął.

– Czujesz już coś? – zapytał.

– Nie. Tak. Tak jakby.

– Czyli?

– Chyba tak. Coś czuję.

– Dobrze. – Poczułem, że wędzidło wraca do pozycji wyjściowej. – Tym razem, jak tylko poczujesz jakiś nacisk wędzidla, rusz w jego stronę. Rozumiesz?

Skinąłem głową i czekałem, aż wędzidło znów się poruszy. Poczułem bardzo delikatne pociągnięcie, ledwo wyczuwalne, ale rzeczywiste. Jak tylko je poczułem (chcąc oczywiście być dobrym uczniem), zrobiłem krok naprzód, w stronę nacisku.

– Bardzo dobrze. – Choć miałem zamknięte oczy, wiedziałem, że staruszek się uśmiecha. – Spróbujmy jeszcze raz.

Znów się rozluźniłem i czekałem, aż wędzidło się poruszy. Tym razem poruszyło się nawet mniej niż poprzednio, ale znów chcąc być pilnym uczniem, poszedłem w stronę nacisku, jak tylko go poczułem.

– Dobrze – stwierdził znowu. – A teraz coś mi powiedz.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na niego.

– Czy ciągnąłem cię w moją stronę wędzidłem?

– Ciągnął pan? – Byłem lekko oszołomiony. – Nie, proszę pana.

– Miałeś ochotę się zapierać?

– Nie.

– Czy łatwo ci było zrobić to, o co cię poprosiłem?

– Tak, proszę pana – powiedziałem z nutą zaskoczenia w głosie. – Bardzo łatwo.

– Powiem ci – rzekł, zabierając ogłowie z mojego ramienia i wieszając je na ścianie – że mnie też było łatwo.

To powiedziawszy, zaciągnął się jeszcze raz dymem, podszedł do drzwi i zgniótł niedopałek palcami. Resztki tytoniu posypały się na ziemię z pozostałościami owijającej je bibuły. Wgniótł je w ziemię i wyszedł.



Następnego dnia przyprowadziłem Lacey z pastwiska, wyczyściłem ją, założyłem jej siodło i ogłowie i zaprowadziłem na lonżownik na naszą codzienną jazdę. Z tego, co pamiętam, obydwójce byliśmy w dobrym nastroju; już po chwili siedziałem na koniu i rozpocząłem trening. Ruszenie stępem, zakręt w prawo, zakręt w lewo, zatrzymanie, kilkusekundowe stanie w miejscu i od początku. Po około pięciu minutach stwierdziłem, że nadszedł czas, żeby poprosić ją o cofanie.

Klacz ładnie się zatrzymała i stała spokojnie, kiedy zacząłem zbierać wodze. Bardzo się starałem mieć miękkie i spokojne dłonie, podobnie jak staruszek, gdy cofał ją dzień wcześniej i gdy demonstrował mi to w stajni.

Z początku, choć użyłem bardzo lekkiego nacisku, nie czułem, żeby klacz w jakikolwiek sposób zareagowała. Już miałem go zwiększyć, aż nagle wpadłem na pewien pomysł. Gdy staruszek kazał mi mówić, kiedy zaczyna stosować nacisk na wędzidło, które trzymałem w ręku, polecił mi zamknąć oczy. Oczywiście nie mogłem być pewien, czy chodziło mu o to, żebym nie podglądał, czy też chciał,

żebym naprawdę to poczuł. W każdym razie uznałem, że to był ważny, brakujący element układanki, więc zbierając wodze, po prostu zamknąłem oczy.

I nagle zacząłem czuć poprzez wodze rzeczy, których nie doświadczałem wcześniej. Poczułem lekki opór, ustąpienie, drgnięcie wędzidła, schowanie głowy, lekkie ugięcie szyi w potylicy – a to wszystko w ciągu zaledwie kilku sekund. Oddałem na chwilę wodze, po czym znów je zebrałem, aby poczuć poprzez nie kolejną szeroką gamę ruchów. Nagle, kiedy byłem zajęty rozszyfrowywaniem różnych sygnałów przenoszonych przez wodze, poczułem, że Lacey robi coś zupełnie innego. Przeniosła ciężar ciała do tyłu! Nie był to duży ruch. Właściwie, gdybym go wypatrywał, zapewne wcale bym go nie zauważył. Myślę jednak, że fakt, iż miałem zamknięte oczy, zmusił mnie, abym go poczuł.

Natychmiast puściłem niewielki nacisk, jaki wywierałem na wodze, otworzyłem oczy i pochyliłem się, żeby pogłaskać klacz po szyi. Posiedziałem spokojnie kilka sekund, po czym spróbowałem ponownie. Zamknąłem oczy, zebrałem lekko wodze, a gdy poczułem kontakt z pyskiem konia, po prostu czekałem. Minęło jakieś sześć sekund, zanim znów zacząłem odczuwać wiele różnych, lekkich reakcji. Po niecałych dziesięciu sekundach klacz przeniosła ciężar ciała do tyłu, a ja od razu puściłem wodze. Zrobiłem tak jeszcze trzy razy, gdy nagle, w odpowiedzi na niemal niezauważalny nacisk na wędzidło, Lacey zrobiła kilka kroków do tyłu!

Zszokowany, że klacz poszła do tyłu w odpowiedzi na tak lekki nacisk, rzuciłem wodze. Podekscytowany rozglądałem się za staruszką w nadziei, że widział, co właśnie zrobiliśmy, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Opanowałem emocje i wróciłem do pracy, działając w ten sam sposób. W niecałe pięć minut Lacey cofała pięć, dziesięć, piętnaście kroków naraz od tak lekkiego nacisku, że wprost nie mogłem w to uwierzyć. A jednak!

Nieco później z wielkim przejęciem opowiadałem staruszkowi o tym, co osiągnąłem z Lacey, ale jak zwykle nie wywołało to u niego zbyt wielkiej reakcji. Siedział, słuchając cierpliwie, co mam do powie-

dzenia, kiwał wolno głową od czasu do czasu, ale nie wydawał się być pod wrażeniem tego, co mówiłem. Pamiętam, że zaczekał, aż skończę mówić, a następnie zapalił papierosa. Wydmuchnął dym między zębami, rozsiadł się wygodnie w fotelu i spojrzął przez okno na pastwisko.


– Zawsze, kiedy chcesz walczyć z końmi – powiedział niskim, mocnym głosem – one będą walczyły z tobą. A jednak nawet podczas takiej walki koń wciąż stara się zrozumieć, o co ci chodzi. Smutne jest to, że jesteś tak zajęty walką, nie zauważasz tego starania. Wydaje mi się, że wreszcie przestałeś walczyć.

W owym czasie to były dla mnie tylko słowa. Nie miały szczególnego znaczenia. Być może dlatego, że byłem jeszcze młodym chłopcem, a może wciąż myślałem o tym, co zaszło między mną i Lacey. W każdym razie dopiero po latach zrozumiałem w pełni to, co powiedział mi tego dnia staruszek.

Poproszono mnie, żebym wsiadł na młodego wałacha i nauczył go wykonywania przejść z jednego chodu do drugiego. Zajmowaliśmy się tym już półtorej godziny i o dziwo, nie zrobiliśmy żadnych postępów. Wciąż myślałem o tym, że to nie powinno być takie trudne.

Fakt, koń był wciąż dość zielony – zajeżdżono go zaledwie czterdzięci pięć dni wcześniej – ale i tak miał większy od innych koni problem ze zrozumieniem tego, o co się go prosi. Nic, co robiłem, nie dawało efektów. Właściwie im bardziej pchałem go naprzód, tym mniej się ruszał. Doszło do tego, że robiliśmy jedynie niewielkie kółka pośrodku ujeżdżalni wolnym stępem, o ile w ogóle się poruszaliśmy.

Właścicielka stała przez cały ten czas przy ogrodzeniu i zaczynała być po niej widać, że jest sfrustrowana moją niemożnością skłonienia jej konia do współpracy. Trudno jej się dziwić, ja też byłem coraz bardziej zdenerwowany. Zacząłem już myśleć, że nic nie skłoni tego konia, żeby zrobił to, o co go proszę. Próbowałem wszystkiego, co znałem, ścisnąłem jego boki piętami, kopałem go, uderzałem po szyi końcówkami wodzy, kiwałem się w siodle, żeby stanie było dla niego



Słynny trener, **Mark Rashid**, przedstawia swoją rewolucyjną metodę szkolenia koni. Jego podejście do tych zwierząt opiera się na odnajdywaniu równowagi w ich treningu.

„Zawsze uważałem, że praca z końmi polega – a przynajmniej powinna polegać – na odnajdywaniu złotego środka, jeśli chodzi o to, jak dużo lub jak mało wskazówek należy dać koniowi, żeby mógł zrozumieć, czego próbujemy go nauczyć. Jeżeli wskazówek jest zbyt mało albo są zbyt słabe – nasze wysiłki mogą okazać się nieskuteczne. Jeżeli jest ich za wiele albo są za mocne, mogą zaś wywoływać opór i niechęć konia do człowieka”.

Wrażliwe i przemyślane podejście Rashida – zwanego często prawdziwym zaklinaczem koni – stawia pod znakiem zapytania tradycyjną koncepcję przywództwa polegającą na byciu osobnikiem alfa. Autor przekonuje czytelników, by stali się „pasywnymi przywódcami” – ludzkimi odpowiednikami konia, z którym reszta osobników w stadzie pragnie przebywać i za którym podąża. Zastosowanie zasad i technik Rashida sprawia, że szkolone jego metodami konie są chętne do pracy i godne zaufania, niezależnie od tego, kto ich dosiada.

www.galaktyka.com.pl

